

Rozdział 7

Nie mogę otworzyć oczu. Zupełnie jak w upalny dzień, gdy zmęczony jasnością odbijającą się od wody zamykam ślepia i odkrywam po chwili nieprzyjemne klucie piasku pod powiekami. Ale tutaj nie jest gorąco. Leżę na czymś zimnym jak kamień, ale zbyt płaskim. Kładę dłoń na gładkiej powierzchni. Nazbyt szybko przejmuje ciepło mojego ciała.

Coś obcego, a jednak znajomego.

Powoli uchylam powieki, przeczuwając, że słońce może mnie oślepić. Jarzy się na płaskim, jasnym niebie, nieprawdopodobnie wydłużone układem chmur. W nagłym przebłysku strachu sięgam ku swojej głowie, irracjonalnie przerażony, że znajdę na niej dziesiątki węży. Zdaje się, że kiedyś męczył mnie taki majak. Obezwładniające umysł przerażenie mija, gdy nie wyczuwam na głowie niepokojącej obecności stworzeń innych od pcheł. Jedna z pyknięciem odbija się od moich palców, ale łapię ją w dłoń i bez zastanowienia połykam. Próbuję zbadać teren, ale słońce mnie oślepia. Musiałem długo i głęboko spać. Czemu wokół jest tak cicho? Gdzie podziały się zapachy? Gdzie pozostali?

I wtedy znikąd pojawia się on.

– Nie bój się – zagaił łagodnie Arte, ale osobnik tylko przez chwilę sprawiał wrażenie spokojnego. Po zogniskowaniu nieprzytomnego spojrzenia na doktorze zaryczał

nieludzko i rzucił się do ucieczki w róg pomieszczenia. Klatka energetyczna, od której ściany się odbił, z impetem wyrzuciła go na swój środek. Podniósł się bez wahania, ślizgając po błyszczącej podłodze gołymi stopami o stwardniałych wędrówkami podeszwach. Znów naparł na klatkę i ponownie powietrze rozdarł skowyt bólu. Arte zmierzył spojrzeniem siłę, z jaką osobnik został wyrzucony w powietrze.

– Zmniejszcie napięcie do 100! – krzyknął w stronę szkła fenickiego pokrywającego jedną ze ścian. Białka oczu osobnika błysnęły strachliwie, gdy usłyszał głos doktora. Jeszcze gwałtowniej rzucił się do ucieczki, dysząc ciężko. W pomieszczeniu szarym, powłóczystym dymem rozpełzł się odór spalenizny. A może Arte tylko tak się wydawało? Od-rębne obiegi powietrza powinny zapobiec mieszaniu się puli oddechowej człowieka i osobnika. Mimo to doktor zmarszczył nos.

– Przetączcie klatkę na połowę pomieszczenia – zalecił ludziom za szybko. Kimkolwiek byli, nie wydawali się zainteresowani słuchaniem jego zaleceń. Samiec zadygotał straszliwie, próbując pokonać impuls klatki, zaciskając pięści na niewidocznym polu energii.

– Do jasnej cholery! – wyrzucił z siebie Arte drżącym głosem. – Jestem czysty! Odkazali mnie przez ostatni kwadrans! Mam w tej połowie pokoju własny obieg powietrza! Nie zarażę go! Jesteście ludźmi czy nie?

Osobnik, oszołomiony porażeniami i przerażony krzykiem doktora, zaczął toczyć pianę z pyska. Doktor zaciśnął pięści i próbował opanować drżenie brody. Cofnął się do samej ściany, tuż obok drzwi, chcąc zasygnalizować

samcowi, że nie ma wrogich zamiarów. Zaraz się wycofa. Nie ruszaj się. Zostań w miejscu.

Ten jednak wydawał się już nie dostrzegać świata. Przekrwione białka migotały bezmyślnie, gdy w panice rozglądał się na boki, szukając czegokolwiek, co mógłby wykorzystać do obrony. Pozostawała tylko ucieczka. Powłócząc nogami, znów przesunął się w kierunku ram klatki.

– Nie! – krzyknął za nim Arte. Miał nadzieję, że osobnik, jak pies, przelęknie się ostrego tonu i położy uszy po sobie, niemal czołgając się do jego stóp. Jednak na dźwięk jego głosu samiec jęknął i przyspieszył.

Arte zacisnął powieki.

Bzzyt, oznajmiła wyłęczająca się klatka.

Osobnik skulił się w kącie pomieszczenia i nakrył głowę rękoma, zbyt już zmęczony, by podejmować walkę. Muskularne owłosione ramiona falowały w górę i w dół w hipnotycznym tempie. Arte pociągnął nosem. Patrzył urzeczony na dziką niesamowitość stworzenia, którego lśniąca futro dziesiątkami odcieni rozświetlały jarzeniówki. Osobnik w wyczerpaniu przechylił nieco głowę. Doktor zadrżał ze wzruszenia, cierpliwie czekając na kontakt wzrokowy.

Boję się. Boję się. Boję się.

Bojaźń przewierca mój żołądek jak jadowity ząb węża, rozszarpuje mięśnie niczym tygrys, uderza w głowę ogłuszającym ciosem spadającego drzewa. Sprawdzonym zwyczajem próbuję sptyścić oddech, by drapieżnik, być może pozbawiony słuchu, nie odnotował mojej obecności. Ale jestem na twardej pustyni. Nie mam gdzie się ukryć, nie

mogę nawet zagrzebać się w piasku czy z ostatnią wolą przeżycia sygnąć nim w oczy potworowi.

Drapieżnik nie spuszcza ze mnie połyskliwego spojrzenia jadawitej jaszczurki.

Uciekam wzrokiem, aby go nie prowokować. Przypomina nieco Jokera czy San, ale podobieństwo to polega tylko na zbliżonym wzroście. Potwór jest równie oślepiający jak otaczająca mnie pustynia. To musi być jego środowisko naturalne, w którym staje się doskonałym łowcą. Pozbawiony futra, które na terenie pod władaniem prażącego słońca jest tylko obciążeniem. Ma oczy wypełnione błyskawicami, twarz zdeformowaną, o zbyt wysokim czole. Szyja powinna złamać się pod ciężarem tak olbrzymiej głowy. Zbyt długie ręce istoty głodującej od wielu tygodni. Zatrważająco pociągły tułów, u którego dołu wystają tylko dwie szeroko rozstawione gładkie czarne stopy. Zdaje się pokryty futrami białych niedźwiedzi, które jednak przyrosły już do jego ciała.

Rozglądam się ostrożnie za moim nierozłącznym ostrym kamieniem.

Arte uśmiechnął się, unosząc kącik ust.

– Dziękuję – rzucił do mikrofonu, dopiero teraz przypomniał sobie, że niepotrzebnie zbyt ekspresyjnie zwracał się do szyby. Biedni techniczni. Miał nadzieję, że jego krzyk nie nadwerżył ich bębenków słuchowych.

– Profesor Rau musiał zatwierdzić zmiany kształtu klatki – usłyszał w uchu suchą odpowiedź. Skinął głową na znak, że rozumiał. – Zalecił nam w zupełności stosować się do pańskich poleceń. Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Nie, dziękuję. – Pokręcił głową i włączył zagłuszacz skryty w kieszeni fartucha, który wcześniej rozwinął palcami jednej dłoni ze sterylnego opakowania. Odwrócił się do osobnika, z radością obdarzając go całą swoją uwagą.

Czymkolwiek jest, nie należy do świata, który znam. Boję się tygrysów, wilków, węży, słoni, jadowitych żab, ale ten lęk jest możliwy do poskromienia. Znam je. Czyhają na mnie, na moich poprzedników i młode naszego stada. Drapieżnik przede mną jest obcy. Jest straszny. Nieznany. Nie atakuje... Jeszcze.

– Natchnąłeś mnie – zadumał się Arte, przyglądając się stworzeniu z zagadkową uwagą. – Moje dziecko musi od najmłodszych lat słyszeć okrutne, wykraczające poza jego wyobraźnię opowieści. W przeciwnym razie wyrośnie na człowieka, który lęka się każdego następnego kroku. A propos kroków i innych miar, nie spodziewałem się, że jesteś taki wysoki. Z metr czterdzieści, co?

– Phhh – pryham agresywnie, obnażając kły. Odzyskałem siły. Przykucam, gotowy, by zerwać się do ucieczki. Nie zbliżaj się do mnie.

– Oho – ucieszył się doktor. – Dostrzegam ślady hartu ducha. Jeszcze kilka lat i zostaniesz rycerzem.

Nie potrafił opanować szerokiego uśmiechu, który wpętl na jego młodą twarz. Oto stał tutaj, dwudziestodziejcio-latek, który wścibstwo i nienasycony apetyt na nowości przekuł w swój zawód. Stał naprzeciwko istoty, którą ostatni

raz ogromne paprocie obserwowały miliony lat temu. Czy mogło być coś czarowniejszego od obcowania z żywą historią odległą niemal na wyciągnięcie ręki?

Dał porwać się uczuciom i poruszył dłoń, by wyciągnąć ją przed siebie. Osobnik wbił się w kąt pomieszczenia tak bardzo, jak było to możliwe przy nieposiadaniu trójkątnego grzbietu, i machnął ostrzegawczo ręką, która miała sugerować groźną kocią łapę. Arte cofnął dłoń.

– Z drugiej strony to przecież absolutnie naturalne, że lękaś się nieznanego – zwrócił się wyrozumiale do osobnika, ale zarazem pogodnie konwersował z samym sobą. Czuł się jak na lekkim rauszu. – Szczególnie czegoś o nieco znanej ci formie. Najbardziej oddziałujące na wyobraźnię horrory bazują na lęku przed czymś, co jest niehumaniczne w swoim byciu człowiekiem... Coś, co przypomina człowieka, ale nim do końca nie jest... Bąble zamiast oczu, jajecznica w miejscu twarzy, wciąż nie do końca ludzkie ruchy androidów... – Kucnął, by znaleźć się na wysokości osobnika. Dzieliła ich przekątna pokoju, odległość zbyt duża, by Arte zdążył zaspokoić swoją ciekawość obiektu, ale też zbyt mała, by osobnik poczuł się bezpiecznie. Samiec od czasu do czasu łapał na niego nieufnie, przede wszystkim skupiając uwagę na poszukiwaniu drogi ucieczki. Rozbiegane spojrzenie. Arte przechylił głowę w geście zaciekawienia. – Kim dla ciebie jestem? Bliżej mi do potwora czy boga? Bóg czy maskara, hm?

Drapieżnik zachowuje się dziwnie. Porusza głową jak drobny ptak zafascynowany pestkami, które wypluwa z ust po przeżuciu miąższu owocu. Wydaje się szykować do skoku,

ale zarazem nie zastyga w cichym skupieniu, nie ustaje w wydawaniu szeleszczących dźwięków przypominających wiatr łaskoczący liście. Nie odrywa ode mnie spojrzenia. Próbuje mnie zahipnotyzować jak wąż kolebiący się na boki tuż przed atakiem, jak owadożerny kwiat, który nęci ufnego motyla lepkiem aromatem.

Zamieram na moment, wyłapując pośród mamrotów drapieżnika znajomy dźwięk. Przyszedł do mnie w stanie półczuwania, w gorączkowym omdleniu po ugryzieniu owada... Wiązał się z dzisiejszym posiłkiem. Z Niezwykłością, którą uznałem za coś... Nie z tego świata. Tak jak stworzenie kulące się przede mną.

Słyszę wyraźnie, jak niemal wypluwając dźwięk, znów posyła go w moim kierunku. „Bóg”.

Może...

Pomyliłem się. To nie Niezwykłość była najwyższą istotą, która wysłała ku mnie swoich szeleszczących, dzikich zwiadowców. To stworzenie przede mną, o okrągłych i zbyt dużych oczach błyszczących łzami krokodyla, spowite w biel zimy, wysłało ku mnie podwładną jej Niezwykłość. Panuje nad moimi ruchami. Potrafi przy bezchmurnym niebie razić mnie piorunem.

– Strasznie tu, prawda? – kontynuował doktor i zmienił pozycję z kucek na siad po turecku. Beztrąsko postukał palcami w podłogę, ale dostrzegłszy uważne spojrzenie samca, postanowił ograniczyć do minimum wszelkie ruchy. – Też tak myślałem w pierwszej chwili i podejrzewam, że tak samo czuje się każdy nowoprzybyły. Potężna, zbudowana przez człowieka planetka, na której na nowo rozwija

się życie... Ileż energii musiało zostać zużytkowane na jej stworzenie. Ile potu. Jak wielkie finanse. Funkcjonuje od zaledwie pięćdziesięciu lat... Starsi ludzie wciąż muszą patrzeć na nią z niedowierzaniem. Mnie zawsze fascynowały dwa księżyce na niebie, ale wydawały się czymś zupełnie naturalnym.

Osobnik nie ruszał się. Zdawał się wyczulony na każde kolejne słowo. Arte przyjrzał mu się krytycznie.

– Oglądałem odlewy materiałów kopalnych. Ach – zre-flektował się. – To przypomina rozmowę z kurczakiem o filecie drobiowym... Wybacz, mam nadzieję, że nie czujesz się urażony.

Samiec zdecydowanie nie czuł się urażony. Nie odrywając od doktora niepewnego spojrzenia, powoli podniósł rękę i podrapał się po karku. Arte uznał to za dowód zwiększającego się rozluźnienia towarzysza swojego monologu.

– Odróżniasz się od pozostałych członków swojej grupy... Nie wiem, czy ktokolwiek zwrócił na to uwagę. Za-uważyłem, że Rau podzielił obowiązki tak perfekcyjnie, że praktycznie nikt nie ma większego pojęcia o tym, czym zajmuje się człowiek siedzący obok. A często nawet on sam. Każdy posłusznie wytwarza fragment układanki, którą Rau leniwie składa na swoim biurku. Ciekaw jestem, co przedstawia. – Z ironicznym zamyśleniem poprawił okulary. Uznał, że osobnik poczuje się bezpieczniej, jeżeli przybiorą takie same pozy, więc nie zważając na ewentualne przemyślenia mężczyzn obserwujących go przez szybę, kucnął i oplótł kolana rękoma.

– Jesteście, na oko, jakieś 700 tysięcy lat przed współczesnością – podjął. – Nieco pospieszyliscie się z tą ewolucją,

ale trzeba też wziąć poprawkę na to, że panujące tutaj warunki są ściśle kontrolowane i udoskonalane na waszą korzyść. Kąt pochyłości czół i brak bródki łudzaco przypominają mi szczątki ze stanowisk Sangiran, Modjokerto i Trinil. To na Jawie. Skoro o tym mowa, wy jesteście niczym sen... Myślę, że za kilkadziesiąt lat porozmawiamy jak cywilizowani ludzie.

Gdybym miał uszy zająca, z uwagą postawiłbym je na baczność.

Istota używa imion moich towarzyszy. To nie może być przypadek. Pośród świstów i szczeknięć wytapuję znów:

– San... Giran... Mod... Joker... Trinil... Jawa...

Skąd je zna? Przecież nigdy ich nie wyartykułowałem. Ale też nigdy im ich nie nadałem. Są jak wieczne prawdy, które znikąd biorą się w mojej głowie. Jak świadomość przytływów morza, światła księżycy w nocy, unikania mokradła. Po prostu istnieją.

A jak ja mam na imię?

Arte spróbował obejrzeć osobnika, nim wyraził swoją opinię. Ostrożnie przechylił się w prawo i lewo, uzyskując różne kąty widzenia. Z zadowoleniem przytaknął swoim myślom.

– Tak jak sądziłem, oglądając cię na ekranie. Twoja czaszka jest nieco silniej wysklepiona. Stawiałbym na objętość puszeki mózgowej równej jakiejś tysiąc dwieście centymetrów sześciennych... Podczas gdy twoich towarzyszy charakteryzuje osiemset. Przypominasz nieco znaleziska z Czu-Ku-Tien. Tak, zdecydowanie Czu-Ku-Tien. Musiałeś dużo

czytać za młodu. Masz potencjał, by stać się Einsteinem swoich czasów...

Czu-Ku-... Ku-Ti... Nie mogę utrzymać w myślach zbyt długiego określenia.

Kuu.

Wołają mnie ptaki.

– ...a raczej miałbyś, gdyby dano ci możliwość pomyślenia. Ale, podejrzewam, tempo waszego życia znacznie utrudnia zostanie myślicielem. Przyznam, że nie do końca odpowiada mi koncepcja tych badań. Analizowane są tylko zmiany fizyczne, ale przecież równie frapujący jest rozwój kultury, proces narodzin miłości, wiary... Z tego, co słyszałem, w ciągu mojego jednego dnia ty zdążyłbyś dwukrotnie narodzić się i umrzeć. Ups, biedaku, przecież nawet nie znasz pojęcia dnia... Wieczny krąg życia, błyskawiczne polowania, porody o wschodzie słońca i porzucanie zmarłych w południe... Wasze życie jest bardzo przygnębiające. Dla mnie, naturalnie, bo dla ciebie pewnie jestem ucieleśnieniem wampira.

Nie wydaje się nastawiony agresywnie. Skołowany, nie wiem, co o nim myśleć. O nim? O niej? O dziwnym, zatopionym w światłości stworzeniu, które wie o mnie więcej niż ja sam.

Z niedowierzaniem przyglądam się swoim dłoniom. Powinny być pomarszczone, niemal nieruchome, zwiastujące rychłe konanie przy łagodzących podmuchach wieczornego wiatru. Tymczasem gibkie palce wciąż sugerują, że mam przed sobą życie.

Istota potrafi zatrzymać czas. Powstrzymać śmierć.

– Arrr, ach, ach – wybucham nagle rozemocjonowaniem i podrywam się z ubitej ziemi, by dać ujście energii w zatrzważająco krwiożerczym tańcu. Nic nie rozumiem. Potrząsam głową, warczę, zastaniam oczy rękoma, by wrócić do swojej grupy, po czym rozcapierzam palce, nie potrafiąc rozstać się z obrazem niezwykłego stworzenia.

– Uu, huu – zawodzę. Co się dzieje? Gdzie jestem? Gdzie są kwiaty? Mija oszołomienie czarem istoty. Pragnę bezpieczeństwa. Łaknę towarzystwa. Chcę ciepła rozgrzanego, leżącego obok mnie ciała. Pożądaję szczenięcia tani rozbrzmiewających w mroku. Niezwykłości, nad którą w zachwycającej komitywie pochylę się z towarzyszami.

Niezwykłość. Czym jest niezwykłość?

Na moment przytomnieję i odwracam się w stronę istoty. Mój żołądek podskakuje, gdy uzmysławiam sobie, że przez ostatnie chwile nie baczyłem na ruchy drapieżnika, który mógł bez kłopotów dopaść mnie i rozszarpać. Nie. Nie. Istota tkwi nieporuszenie na swoim końcu grotu. Dziwnej grotu pozbawionej wejścia, z burym, ale migotliwym naciekiem na jednej ze ścian.

– Co za szta! – Arte ostupiał, oszołomiony niespotykanym tańcem. – Denerwujesz się? Nie ma powodu. – W geście poddania pokazał mu wnętrze dłoni. – Twój taniec przypomina nieco ruchy godowe... Zawsze zastanawiało mnie, co myśli zwierzę zabiegające o względy wybranki. Czy w ogóle o czymkolwiek myśli, analizuje, wprowadza poprawki do swoich zachowań, czy może daje się ponieść instynktowi? Czy jedno musi zaprzeczać drugiemu? Ludzie

sądzą, że poprzez myślenie stają się bardziej ludzcy, ale z kolei racjonalność i metodyczność sprawiają, że coraz bardziej odchodzą od natury... Czy człowiek jest skazany na życie z dala od zwierząt? Czy na pewno istotą człowieczeństwa jest bycie maszyną?

Nie do końca zdecydowany, postępuję pół kroku w kierunku stworzenia. Na moment, być może zgubny, ale w tej chwili nie zastanawiam się nad tym – na jeden moment ciekawość bierze górę nad pragnieniem skrycia się w bezpiecznym miejscu. Chcę wiedzieć. Czym jest Niezwykłość?

– Pchch. Uu.

Powiedz mi to jedno, a potem pozwól uciec.

– Prr, bestio nienasycona – zaśmiał się Arte, źle interpretując nieskoordynowane ruchy samca. – W innych okolicznościach z tak zarumienionymi genitaliami mógłbyś założyć harem, ale nie jestem właściwym adresatem twojej uwagi. Aczkolwiek chwali ci się, że dbasz o różnorodność puli genowej.

Prr. Podoba mi się ten dźwięk. Niesie ze sobą warkot, groźbę oparzenia, ale też ciepło płomienia.

Arte, nie wiedząc nawet kiedy, rozsiadł się wygodnie pod ścianą i przeciągnął się z pasją, od której chrupnęły mu chrząstki. Osobnik wzdrygnął się.

– Będę się już zbierał, amigo – wyjaśnił mu doktor z przepaszającym uśmiechem na twarzy. – Szalenie ekscytująca była nasza rozmowa. Zdecydowanie przyjemniejsza od

pogawędek z profesorem. – Zafrapowany, przechylił głowę tak bardzo, że zbyt długie, odrastające czarne włosy musnęły jego ramię. – Może to dobrze, że życie tak krótko. Nie zdążysz zaznać wyrzutów sumienia.

– Dobranoc. Słodkiego, długiego życia.

Przesunął się do wyjścia i skinął głową ludziom skrytym za szybą. Musieli z zainteresowaniem śledzić jego poczynania, bo bez zwłoki zareagowali na polecenie i otworzyli drzwi do komory oczyszczającej. Arte zdjął fartuch i cywilne ubranie, włożył je do sterylizarki, a sam na chwilę zatracił się w podmuchach ozonu, wyobrażając sobie, że stoi na środku pola tuż po burzy. Marzenie znakomicie komponowało się z oczyszczającą rozmową, którą właśnie zakończył. Zabawne, że nigdy nie czuł szczególnego sentymentu do zwierząt przewijających się przez jego życie, począwszy od chomików hodowanych w młodości, zakończywszy na psie jego żony, który dzisiaj pałętał się radośnie po ich ziemskim mieszkaniu. Wszyscy byli równi, wszyscy wpisywali się w krąg życia, wszyscy zasługiwali na szacunek, nikt na większy od innych. A jednak ten osobnik wzbudził w nim moc pozytywnych uczuć. W oczach samca czaiło się zdumiewające zrozumienie. Czerń źrenic zdawała się skrywać tajemnicę wieczności.

Uśmiechnął się do myśli, że każdy właściciel psa mówi tak o swoim pupilu.

Uśmiechnął się do przeświadczenia, że gdyby wypowiedział te słowa na głos, ktoś zbyt przywiązany do swojego ciała natychmiast poczyniłby mu uwagę o rasizmie. Rozumiał to, on sam potrzebował czasu, by zacząć myśleć

o świecie holistycznie. By zacząć postrzegać szerszenia i człowieka jako dwa równorzędne organizmy, a w ich porównywaniu nie widzieć niczego ubliżającego.

Uśmiechnął się też do świadomości, że pozostaje człowiekiem wolnym od negatywnych emocji. On sam, jego chomiki, Rau, osobnik, kobieta i mężczyzna, młody i stary... Wszyscy byli stworzeniami podlegającymi podobnym cyklom. Nikt nie zasługiwał na wyróżnienie. Oglądając na ekranie spopielenie samicy, przez chwilę odniósł wrażenie, że traci równowagę, że w jakiś niezwykły sposób to nieznaczące w skali świata wydarzenie zaburza jego światopogląd... Ale kontakt z mordercą przywrócił mu spokój. Nieważni są zabójcy. Nieważne są ofiary. Istnieje tylko nienasycony głód ciekawości, której zaspokajanie kiedyś uzdrowi świat.

– Co z nim teraz zrobicie? – zapytał technicznych, gdy po dwóch kolejnych sesjach oczyszczania powrócił do ich pokoju. Zauważył, jak jeden z nich pospiesznie zamknął okno pełne krzywych linii wykresu częstotliwości. Oho. Postanowili rozkodować rozmowę.

– Nie warto – rzucił pogodnie wścibskiemu mężczyźnie. – Rozmowa naiwnego z szaleńcem.

– Jak pan sobie życzy – burknął ten niejednoznacznie, zachowując pokerową twarz. – Profesor Rau zalecił nam zastosować się do pańskich poleceń.

– Co stałoby się z nim według dotychczasowych zwyczajów?

– Trafiliby do Segmentu Psychologicznego, gdzie zostałyby przeanalizowane jego zdolności myślenia logicznego... Do Segmentu Genetycznego, żeby przebadać materiał... –

Zerknął na kolegę, szukając odpowiedzi. Ten uzupełnił natychmiast:

– Segment Antropologiczny, gdzie skontrolują prawidłową budowę ciała...

– Dziękuję – przerwał ich wyliczankę Arte. – Domyślam się, że nie będzie dla was bardziej kłopotliwe spełnienie mojej prośby, by przywrócić go powierzchni Planety. Niech w spokoju umrze wśród swoich.